

KRYSTYNA JANDA — WSZYSTKO DLA AKTORSTWA

Trudno powiedzieć, że ponad dziesięcioletnia kariera filmowa, teatralna, telewizyjna i estradowa Krystyny Jandy jest błyskotliwa. Nie dlatego, że nie jest, ale dlatego, że to określenie w dziennikarskim pisaniu o aktorstwie jest zardzewiałym wytrychem często pozostawiającym przykry zgrzyt. Błyskotliwe — to ładne, powierzchowne, trafiające w gusta publiczności, łatwe i przyjemne, docierające do każdego. Tytaniczna praca Krystyny Jandy jako aktorki żyjącej tym zawodem, z błyskotką nie ma nic wspólnego, nawet w jej pierwszych, debiutanckich krokach. Janda — chorobliwie ambitna — już w „Człowieku z marmuru”, czyli „po raz pierwszy na ekranie”, udowodniła, że intuicja, żywiołowość i dynamizm mogą być o wiele ważniejsze niż aktorskie przygotowanie. Można powiedzieć, że kreując postać Agnieszki, pierwszej kobiety z krwi i kości w polskim filmie, zagrała więcej niż umiała. Była urodzoną Agnieszką, którą odkrył reżyser, zagrała tak, jak umiała, na miarę swego wrodzonego talentu i pragnienia do dzielenia się własną osobowością z kreowaną przez siebie bohaterką.

Po piętnastu latach cała obyczajowo-skandalizująca aura wokół Agnieszki, tworząca wówczas zjadliwą (i bardzo nie-



umiejętną) krytykę filmu Wajdy, stała się zbiorem humorystycznych cytatów, choć zdarzały się obiektywne głosy uznania. *Janda ani ładna, ani wypiełgowana* — pisał w 1979 r. Jerzy Andrzejewski — *jest podobnie jak niegdyś niezapomniana Czyżewska — jedyna*. Do historii przeszło też słynne powiedzenie twórcy „Człowieka z marmuru”: *Krystyna Janda to najzdolniejszy chłopiec w polskim kinie, z jakim pracowałem od czasów Zbyszka*.

Rzadko zdarzają się pokoleniowe debiuty, rzadko swą pierwszą rolą (u Jandy pierwsza była od razu główną) aktor wyciska na widzach swą indywidualność i zapada w pamięć nonkonformistyczną postawą. Fakt taki to wielkie szczęście dla reżysera ponoszącego w czasie realizacji wszelkie ryzyko przyszłego odkrycia. Krystyna Janda stała się aktorką Andrzeja Wajdy. Pod jego kierunkiem grała w filmach i teatrze, jemu zawdzięcza — i przyznaje się do tego z żarliwą pokorą — że kolejne role w „Bez znieczulenia”, rozwinięcie postaci Agnieszki w „Człowieku z żelaza”, „Dyrygencie” stworzyły jej możliwość kreowania coraz to innych charakterów kobiecych. Bo trzeba też przyznać, że przez wiele lat uznawano Jandę za aktorkę zdolną grać tylko silne, buntownicze kobiety zdominowane przez cechy męskie.

Debiut pozwolił jej przeskoczyć pewien stereotyp, jaki napotyka każda „nowa blondynka” zjawiająca się na planie polskiego filmu. W cieniu jednak pozostały interesujące role drugoplanowe w filmach telewizyjnych „Pani Bovary to ja”, „Doktor Murek”, w pesymistycznym „Golem” Piotra Szulkina, u którego występowała w każdym filmie jako „guest star”, grając zawsze tę samą rolę kobiety-lalki. Faktem jest, że wszystkie inne filmy oprócz podpisanych przez Wajdę, aż do roku 1982, nie były wydarzeniami artystycznymi, z wyjątkiem węgierskiego „Mefisto”. Niewątpliwie jedna z najciekawszych, wczesnych ról — kapłanka Aza w filozoficznym „fantasy” „Na srebrnym globie” Andrzeja Żuławskiego, praktycznie nie dotarła do widza, ponieważ film został „ukończony” po 12 latach. Ale warto tę rolę przypomnieć, by zobaczyć teatralną ekspresję Jandy zaadaptowaną dla kina. A dodać trzeba jeszcze główną rolę Elżbiety w „Granicy” Jana Rybkowskiego. Akademicki film przeszedł bez echa, a wraz z brakiem zainteresowania przepadała też ciekawa kreacja, jakże inna niż w „Człowieku z marmuru” — cicha, skromna, pełna poświęcenia kobieta. Janda powiedziała, że Elżbietę musiała grać przeciwko sobie samej.

Gdyby więc wyłączyć role w filmach Wajdy, dorobek filmowy aktorki byłby dość chaotyczny i przypadkowy. Ale na jej sławę pracował nie tylko film. Krystyna Janda jest rzadką artystką, która swą wartość widzi dopiero na scenie i teatr pragnie traktować jako prawdziwy sprawdzian umiejętności — do dziś odczuwa brak możliwości stawienia czoła wielkiemu repertuarowi klasycznemu. Jej marzeniem jest zagranie roli Hamleta; jedną z jej pierwszych ról był przecież Dorian Gray na scenie teatru Małego. Wzbudzał sensację wokół nazwiska nieznaney, odważnej aktorki, którą tam właśnie — ową sensacją zwabiony — odkrył dla siebie Andrzej Wajda. Z renomowanym Ateneum związana była przez 11 lat. Na jego scenie prezentowała monodram Agnieszki Osieckiej „Biała bluzka”, pokazujący w ciągu 90 minut różne oblicza współczesnej dziewczyny. Były sezony, kiedy jej kreacje w modnych, popularnych sztukach „Edukacja Rity” czy „Z życia glist” wypełniały całkowicie widownię przez wiele miesięcy. Chodziło się na „Jandę”, choć niektórzy krytycy twierdzili, mając zapewne ku temu jakieś przesłanki, że scena obnaża mankamenty jej techniki, co można doskonale zamaskować w filmie. Ale czy aktor-technik jest dziś w stanie zawiadnąć widzom? Tu jest właśnie sedno fenomenu. Janda uważa się za brzydką, nie może należeć do tych gwiazd, które ofiarowują widzowi swą nieskazitelną urodę. Musi dać widzowi swą duszę i myśl.

Janda żyła sceną równoległe z pierwszymi klapsami. Jakby mało było tej aktywności, w 1977 wystąpiła na estradzie w Opolu podbijając słuchaczy i krytyków wykonaniem piosenki Marka Grechuty „Guma do żucia”. Nie potraktowała piosen-